



IWONA
FELDMANN

Rozdzieleni

Matka czekająca po wojnie na powrót swoich
dzieci i nowe pokolenie uwikłane w kłamstwa i intrygi.
Uczucie, które niebezpiecznie rozpala serca i dusze,
a może na powrót rozdzielić i zniszczyć dwie rodziny.

I W O N A
F E L D M A N N

Rozdzieleni

Tom 2



KROPLE
CZASU

Copyright: Iwona Feldmann
Copyright: „Krople czasu” Studio wydawnicze
Autor: Iwona Feldmann
Tytuł: Rozdzieleni
ISBN 978-83-67572-79-8

Redakcja: Dominika Bronk Polonistyczna Kruczata
Korekta: Anna Jeziorska
Konsultacja języka angielskiego: Malwina Fidyk
Okładka: Projektownia Justyna Fałek
Skład:



Zdjęcie na okładkę: stock.chroma.pl

Wątki historyczne w książce powstały na podstawie wydarzeń, które miały miejsce w rodzinie autorki, a imiona lub nazwiska zostały celowo zmienione.

Wszelkie pozostałe postacie i wydarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. Bohaterowie i wydarzenia zawarte w tej historii są tworem wyobraźni autorki, a jakiegokolwiek podobieństwo może być tylko przypadkowe.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawnictwa lub autora.

Wydawca:
„Krople czasu” Studio wydawnicze.
Kontakt:
wydawnictwokropleczasu@gmail.com
feldmanniwona@gmail.com
www.sklepiwonafeldmann.pl

Dla mojej mamy Teresy

1. Aniela

Aniela usiadła na skromnej ławce przed domem i otuliła się chustą. Obserwowała barwny orszak zmierzający w jej stronę z niesioną na przedzie marzanną. Kukła, trzymana przez dzieci, podrygiwała w powietrzu. Jej słomiany korpus ubrano na biało, a dookoła poprzywiązywano do niej kolorowe wstążki powiewające teraz na wietrze. Kołysała się w rytm pięknej wiejskiej melodii, a dzieci i starsi uczestnicy prze-marszu wymachiwali zielonymi gałązkami jałowca.

Aniela uśmiechała się lekko, przytupując nogą w rytm rozbrzmiewających dookoła radosnych dźwięków. Tak bardzo czekała na tę wiosnę. Chyba jeszcze nigdy nie czekała na tę porę roku równie mocno. Dlatego cieszyła się tym dniem. Cała jej rodzina szła w tłumie przechodzącym przed jej oczami. Tylko ona nie mogła tam być, nie mogła iść z nimi, bawić się i przemierzać wioskowych zakamarków. Siedziała, czerpiąc radość z obserwacji tej żywej, pełnej energii procesji. Chorowała przez większość zimy, co nigdy do tej pory jej się nie zdarzyło. Może miała już swoje lata, jak mówiła jej córka Krystyna, ale to nie przez wiek tak podupadła na zdrowiu.

Pamiętała dokładnie ten moment, gdy wybiegła z rozgrzanej kuchni do sieni i poczuła, jak owiewa ją lodowate powietrze. Ktoś zostawił otwarte wielkie drzwi wejściowe i wiatr szalał w najlepsze po całym pomieszczeniu.

Długo wracała do zdrowia, podczas gdy Krysia właściwie przejęła matczyne obowiązki i w tym czasie rządziła całym gospodarstwem. Dobrze, że była taka obrotna.

Korowód znajdował się już niedaleko i Aniela zaczęła rozróżniać znajome twarze. Marzannę niósł najstarszy syn sąsiadów, a dwaj wnukowie Anieli – synowie Janka – pomagali mu na zmianę. Byli już tacy dorośli. Sama nie wiedziała, kiedy to się stało. Karol skończył osiemnaście lat i gdyby mu Janek pozwolił, toby od razu się żenił ze swoją ukochaną. Stasiu był trzy lata młodszy, ale prawie tak samo wysoki – po ojcu i po jej braciach. Po bokach biegły przy nich młodsze dzieci. W tym tłumie wypatrzyła dwie najmłodsze wnuczki: ośmioletnią Wiktorię i dziesięcioletnią Michasię.

– Babciu! Babciu! – wołały jedna przed drugą. Śmiejąc się, odłączyły się od korowodu i podbiegły do niej, a ich kucyki przyozdobione czerwonymi kokardkami podskakiwały radośnie.

– Widziałas marzannę?! – pytała Michasia.

– Chodź z nami! – zachęcała ją jednocześnie Wiktoria.

Aniela uśmiechnęła się i przytuliła do siebie obie dziewczynki. To była jej rodzina. Krew z jej krwi, jej wnuczki. W skrytości ducha zachwycała się nimi, ich radością i młodością, ich wolą życia, które w zasadzie dopiero było przed nimi. Nic bardziej jej nie cieszyło niż te szczęśliwe dzieciaki.

Cały korowód właśnie ją mijał, sąsiedzi ją pozdrawiali, radośnie do niej machając i życząc zdrowia, a ona z ochotą im odpowiadała i dziękowała. Nie znali się zbyt długo. Wszyscy byli tu przyjezdni, ale dobrze mieszkano im się w tej Nowej Kolonii, jak nazywali to miejsce wszyscy nowo przybyli mieszkańcy.

Z Kąpieli Wielkich wyprowadzili się pod Tarnowskie Góry i musiała przyznać, że miejsce to okazało się cudowne. Takie inne od jej rodzinnej wsi, tętniące życiem.

Niekończące się lasy, bezkresne pola, wielki targ w mieście dwa razy w tygodniu i wysokie domy. A do tego tyle ludzi... Niedaleko znajdowała się duża betoniarnia, tam pracę znalazł Piotr, trochę dalej pracował Janek – przy budowie ogromnej fabryki. Aniela też znalazła zatrudnienie, ale ze względu na chorobę musiała z niego chwilowo zrezygnować. Sąsiadów miała dobrych i uczynnych, chętnych do pracy i do zabawy. Dobrze się tutaj czuła, mimo że czasami pewne rzeczy jej się nie podobały. Przymykała jednak na nie oko. Wołała skupiać się na swoich problemach.

– Mamo! Mamo! – Usłyszała wołanie Krysi.

Córka wyrwała się z korowodu i do niej podbiegła. Była szczęśliwa i roześmiana. Jej policzki się zarumieniły, a oczy błyszczały jak gwiazdy. Aniela patrzyła w nią jak w obraz. Sama była kiedyś taka piękna jak Krysia.

– Jak się czujesz? – zapytała troskliwie i przykucnęła u jej stóp. – Może chciałabyś się kawałek z nami przejść? Ja i Mieciu pomożemy ci iść – zaproponowała z werwą. – Kawałeczek, tam do zakrętu. – Wskazała ręką.

Aniela dokładnie wiedziała, o jakim miejscu mówi.

– Odpoczniesz na ławce przed domem Wolnikowej i będziesz miała znakomity widok na rzekę. Zobaczysz, jak dzieci topią marzannę.

Uśmiechnęła się do córki i podniosła wzrok na Mietka, męża Krysi, który też odłączył się od przemarszu i już był przy niej, aby pomóc.

– Nie, dziękuję, kochani – powiedziała Aniela i spojrzała na nich czule. Całą miłość, jaką miała w sobie i jaką przelewała przez te wszystkie lata na nich, teraz z nawiązką jej oddawali. Nad jej życiem świeciło słońce, chociaż jedna czarna chmurka zawsze będzie wisiała nad jej głową

i Aniela doskonale o tym wiedziała. Będzie tam, dopóki nie wróci jej pozostałe dzieci.

– Szkoda – szepnęła Krysia i spojrzała smutno na męża. – Może za rok...

– Za rok pójdziemy razem – podłapała Aniela, aby pocieszyć córkę. – A za dwa tygodnie na Wielkanoc już będzie lepiej i wybierzemy się razem do kościoła.

W tym roku Wielkanoc wypadła szóstego kwietnia, a Aniela wiedziała, że do tego czasu wyzdrowieje i nabierze sił na tyle, aby towarzyszyć rodzinie. Podobał jej się nowy kościół, do którego chodzili. Był wysoki, strzelisty, z czerwonej cegły. Uwielbiała jego wystrój i majestat. Z ufnością spoglądała w obrazy Matki Boskiej Fatimskiej i serca Jezusa i chętnie już by tam pobiegła, ale jeszcze chwilę musiała być cierpliwa.

– Czekaj tu na nas, mamó, nigdzie nie odchodź – prosiła Krysia.

Aniela się zaśmiała. Gdzie miałyby pójść, skoro była jeszcze zbyt słaba?

Córka ucałowała ją w policzek i pobiegła z mężem między ludzi. Dołączyła do barwnego, rozśpiewanego koro-wodu, który już minął ich dom i siedł nad rzekę, by utopić marzannę, odegnąć zimę i prosić o urodzajne plony latem. Aniela patrzyła jeszcze za nimi i podziwiała piękną zieloną spódnicę Krysi.

Powiał chłodny wiatr, więc mocniej okryła się obszerną chustą. Po chorobie była trochę wychudzona i nie odzyskała jeszcze tych swoich paru kilogramów. Z wiarą patrzyła jednak w przyszłość i wierzyła, że szybko nabierze sił i wróci do aktywnego życia w rodzinie.

– Mamó... – Usłyszała to jedno słowo wypowiedziane drżącym męskim głosem.

W pierwszej chwili nie zorientowała się, do kogo ten głos należy, ale chwilę później jej serce zadudniło. Fala emocji targnęła jej duszą. Zamknęła oczy i błagała Boga, aby to nie był sen, aby to nie była zjawą. Głośno przełknęła ślinę i odwróciła głowę w stronę, skąd dochodził ten cichy i jakże niepewny głos. Przez mokre od emocji oczy zobaczyła dziwnie wychudzonego mężczyznę w za dużym ubraniu, które po prostu na nim wisiało.

– Mamo! – szepnął z większą siłą i postąpił w jej stronę.

Wtedy go poznała. Rozchyliła z wrażenia usta, a ciepły oddech wyleciał z nich wraz z imieniem syna:

– Franek...

Wyciągnęła do niego ręce, a on przypadł do jej kolan i szlochając głośno, całował jej drobne ręce, wychudzone chorobą. Dłonie, które kiedyś go tuliły czy zaganiały do pracy. Dłonie matki, która dała mu życie i na niego czekała, gdy on brnął do niej przez świat.

– Dziecko moje... – wyszeptała i zaczęła płakać tak głośno, jakby ktoś wyrywał jej serce.

Nie widziała go od ponad sześciu lat, kiedy to Niemcy aresztowali go i wywieźli w głąb Rzeszy na roboty. Nie wiedziała, czy żyje, gdzie rzucił go los i czy jeszcze wróci. Ten dzień, gdy lokomotywa szarpnęła składem, a wagony uderzyły jeden o drugi, okazał się najgorszym dniem jej życia. Właśnie wtedy do wagonu wskoczyła Jadzia, jej córka, aby towarzyszyć bratu w tej podróży, aby nie został sam. „Będziemy razem, mamo, i obiecuję, że wrócimy!” – wołała do niej i machała ręką na pożegnanie.

Aniela spazmatycznie wciągnęła powietrze i mocno wtuliła się w wychudzone ciało syna. Najgorsze okazały się te dwa ostatnie lata od zakończenia wojny, gdy każdego dnia wypatrywała swoich dzieci, a oni nie wracali. Wtedy

poczuła jeszcze czyjaś obecność. Podniosła głowę i otarła chustką zapłakaną twarz, aby widzieć lepiej. Spojrzała przed siebie i już na końcu języka miała imię córki. Tylko... to nie była tak do końca Jadzia. Spojrzała prosto w twarz dziecka, które wydawało się, że znała.

– Tato? – powiedział niepewnie mały chłopiec, przytulając się do pleców Franka.

Aniela uniosła brwi i ciepło rozlało się w jej sercu na widok tej słodkiej buzi, blond loków i dziecięcego głosiku.

– Tak, synku? – zapytał Franek, odwracając się, i posadził chłopca na swoich kolanach tuż przy matce.

– Czy to nasz dom? – zapytał malec.

Aniela już nic nie widziała. Zakryła usta ręką i łkała głośno, a z jej oczu kapąły olbrzymie łzy. Pochyliła się i objęła ramionami Franka i jego syna i mocno tuliła ich do swojej piersi. Tak czekała na ten dzień i nie spodziewała się, że właśnie dzisiaj nadejdzie.

Coś jednak nie dawało jej spokoju.

Wyprostowała się z nadzieją, otarła twarz swoją chustą i rozejrzała się dookoła, przeszukując matczynym wzrokiem przestrzeń przy domu. Jedno jedyne pytanie zawładnęło jej myślami i teraz najbardziej na świecie bała się je zadać. Zdawała sobie sprawę, że jeszcze bardziej bała się odpowiedzi, którą może usłyszeć. Z nadzieją w oczach ciągle rozglądała się dookoła. Może ją przegapiła, może córka stoi i patrzy na nią, tak jak chwilę temu patrzył Franek. Może zamarudziła po drodze, dłużej odpoczywała i właśnie teraz nadchodzi i zaraz się z nią przywita. Sięgała wzrokiem dalej na drogę i dalej, coraz dalej, wypatrując córki.

– Gdzie... – zaczęła z trudem głosem pełnym nadziei. – Gdzie jest... Jadzia? – wyszeptała.

– Mamo... – Franek spojrzał na nią szklącymi się oczami. Jego oblicze zmieniło się ze wzruszonej i radosnej twarzy mężczyzny powracającego po latach do domu w twarz cierpiącego człowieka. Spuścił wzrok i spojrzał na swojego małego synka. Pocałował jego jasne włoski i z trudem wyznał: – Teraz został nam już tylko Julek.

„Co to miało znaczyć?” – pytała się w myślach, nie bardzo pojmując znaczenie słów syna.

Aniela nie wiedziała, jak długo siedziała i patrzyła w nic. Osuwała się na jej krawędź i wracała, chociaż wracać nie chciała. Słyszała, jak Franek ją woła, prosi, aby mu odpowiedziała. Sama nie potrafiła określić, co okazałoby się gorsze: czy lepiej jest czekać na dzieci i zmagać się z pytaniami, gdzie rzucił je niepewny los, czy znać prawdę. Teraz była pewna i niepewna. Może Franek miał co innego na myśli? Może źle go zrozumiała? Wołała czekać i się łudzić, niż usłyszeć taką wiadomość.

Franek pomógł jej wstać i podtrzymując ją, poprowadził do domu. Krok po kroku przemierzali sięć i weszli do izby, gdzie posadził ją przy dużym stole.

Przez całą drogę układał sobie, co powie matce, gdy zapyta o Jadzię, ale w momencie, gdy to zrobiła, zabrakło mu słów. Powiedział coś, a ona i tak zrozumiała. Trwał przy niej, tulił ją do siebie i nie wiedział, jak przeżyje dalszą część rozmowy, gdy będzie musiał powiedzieć prosto i tak po ludzku, co się stało. Rozejrzał się dookoła.

„Dom – pomyślał. – Nowy dom”. Tak podobny do tego poprzedniego, że od razu poczuł, iż się do niego szybko przyzwyczai. Kuchnia, stół, krzesła, łóżka. Posadził Julka przy stole i wyjął z kredensu trzy kubki. Potem zajrzał do glinianego dzbanka. Nalał kompotu i postawił przed matką.

– Napij się, proszę – powiedział. – Poczujesz się lepiej, mamó.

– Tato? – Usłyszał cichy głosik swojego syna i na niego spojrzał.

Julek znów stanął obok. Był onieśmielony i zakłopotany. Małą rączką próbował złapać jego płaszcz, aby poczuć się pewniej.

– Co się dzieje, kochanie? – zapytał Franek czule. Wiedział, jaki chłopiec jest uczuciowy i delikatny. – Napij się kompotu – zachęcił go, stawiając na rogu stołu drugi, napełniony już kubek. – Babcia Aniela robi najlepszy kompot na świecie.

– Czy to nasz dom? – Znów padło pytanie, na które Franek nie odpowiedział mu poprzednio.

– Tak, to jest nasz dom – potwierdził tym razem i wyciągnął do niego rękę. Chłopiec z radością podał mu swoją dłoń, a Franek usiadł na krześle obok matki i posadził go sobie na kolanach. – Pamiętasz, jak opowiadałem ci o mojej mamie? – Chłopiec skinął głową. – To jest Aniela, moja mama, a twoja babcia. To najlepsza i najukochańsza kobieta na świecie. Czekala na nas przez cały czas.

– I nie będziemy musieli znowu szukać innego domu?

– Już nie – szepnęła Aniela.

Franek spojrzał na matkę, a potem zwrócił się do syna:

– Zostaniemy tu z babcią i całą naszą rodziną.

Aniela spojrzała na nich i w duchu podziękowała Bogu, że ma przed sobą syna i jego dziecko, choć w jej sercu widniała dziura większa niż lej po bombie. Wiedziała, że dziurę tę będzie pielęgnowała do końca swego życia, gdyż będzie to ślad po córce, po Jadzi, która w jej myślach pozostanie już na zawsze piękna i młoda. Odważna, pełna miłości i gotowa do poświęceń. Jedyna taka. Niezastąpiona.

2. Anna

Anna i Gillian weszły do Graham Henry Gallery w poniedziałkowy poranek. Kąty i zakamarki galerii zionęły ciszą i pustką, a nieoświetlone ściany z obrazami sprawiały smutne wrażenie. Chociaż... może to świat Anny okazał się po prostu smutny, bo wczoraj tak po prostu się zawalił.

„Wczoraj było idealnie – pomyślała Anna. – Nic nie zapowiadało żadnej katastrofy”.

Odwiedziła z Jamesem jego rodziców i widziała, jak bardzo cieszą się z ich wizyty. Właściwie największą radość sprawiła im wiadomość, że ona i James zostali parą. Przyjęli ten fakt do wiadomości i chętnie zaakceptowali. Zastanawiała się momentami, kogo szokowało to bardziej – jego rodziców, bo James przyjechał do nich i oświadczył im, że są razem, czy ją, bo nie spodziewała się po nim niczego oprócz przygody na parę nocy. Na dodatek poprosił, aby z nim zamieszkała, a ona, niczym zakochana wariatka, wzięła pod uwagę jego propozycję.

Już wsiadała wczoraj wieczorem do samolotu, gdy zadzwonił do niej Graham Henry – właściciel galerii, w której miała mieć wystawę swoich obrazów, i zakomunikował jej, że wszystko odwołuje i żadnej wystawy nie będzie. Na początku myślała, że to żart, ale się myliła. Graham nie żartował. Z pewnych źródeł dowiedziała się, że dostał od Jamesa pieniądze, aby odwołać jej wystawę. Nie potrafiła w to uwierzyć. Po co James miałby to robić? Lubił jej ob-

razy i ją wspierał. Czuła, że po tym weekendzie to wszystko, co było między nimi, zajdzie dużo dalej, niż oboje się spodziewali. Chyba że James tylko udawał i wodził ją na pokuszenie?

W tamtym momencie miała dwa wyjścia. Wsiąść do samolotu, wrócić do Polski, do pracy, i zapomnieć o wystawie i swoich marzeniach lub zostać w Londynie, stracić pracę i walczyć o wystawę, o przyszłość, która zawisała na włosku. Wybrała drugą opcję, bo nie wyobrażała sobie życia ze świadomością, że odpuściła i nie walczyła o to, co dla niej najważniejsze.

W tej chwili nie miała już pracy, wystawa została odwołana, a ona utknęła w wielkim mieście. U jej boku trwała tylko Gillian, która wsparła ją wczoraj i uratowała przed totalnym załamaniem. Zabrała ją z lotniska, pocieszyła i zawiozła do jej przyjaciółki, Róży, aby nikt się nie dowiedział, że tu została. Dzisiaj znów była z nią i właśnie znalazły się przed galerią.

Anna z wdzięcznością spojrzała na Gillian. Cóż to była za kobieta! W zaciszu rezydencji nie wydawała się taka zdecydowana i władcza. Teraz zachowywała się, jakby doskonale wiedziała, co robi i dokąd zmierza.

Drzwi do gabinetu Grahama były otwarte na oścież. Weszły do środka przestronnego pomieszczenia urządzonego w bardzo nowoczesnym stylu. Królował tu beton o różnej strukturze, przełamany czarno-białymi dodatkami.

– Witam, pani Hunter. – Graham podszedł do nich i przywitał się od razu z Gillian, a potem z Anną.

Był mężczyzną ledwie po czterdziestce. Jasne, krótko przyszyryżone włosy, sportowa marynarka i bystry wzrok, który zawsze intrygował Annę.

Zaprosił je, aby usiadły.

– Napiją się panie czegoś?

– Zdecydowanie poproszę o kawę – odparła Gillian, patrząc mu w oczy, i dodała: – Nie wyspałam się. Wczoraj długo omawiałam z rodziną mnóstwo spraw związanych z tą wystawą – wyjaśniła, uśmiechnęła się i usiadła prosto. Zachowywała się jak gdyby nigdy nic i czekała na swój napój.

– Anno, co dla ciebie? – zapytał mężczyzna, zanim ta zdążyła przeanalizować zawołowaną groźbę Gillian, skierowaną w stronę Grahama.

– To samo, proszę – odparła.

– Poprosimy o trzy kawy – powiedział do asystenta, który stał w progu i czekał na dyspozycje. Potem Henry spojrział na starszą z kobiet.

Anna doszła do wniosku, że wszyscy troje, jak tu siedzieli, zrozumieli aluzję Gillian. Graham odchrząknął, usiadł za swoim biurkiem i sprawiał wrażenie zamyślnego.

– W takim razie słucham – odezwał się po chwili. – Co sprowadza panie w moje skromne progi?

Gillian poprawiła się na krześle obitym czarnym, miękkim materiałem, i powiedziała:

– Oznajmił pan wczoraj Annie, że zamierza odwołać jej sobotnią wystawę. Trochę nie chce mi się w to wierzyć, panie Henry – zwróciła się do niego po nazwisku. – Wraz z całą rodziną jesteśmy ciekawi powodów tej decyzji. Czyżby obrazy Anny się panu nie podobały? – Uśmiechała się przewrotnie, atakując go tym pytaniem.

– Ależ skąd, droga pani Hunter! – szybko zaasekurował się Graham. – Obrazy Anny bardzo mi się podobają.

– Co zatem spowodowało, że tak nagle zmienił pan zdanie i postanowił odwołać wernisaż?

Anna przyjrzała się Gillian. Jej twarz i cała postawa wyrażały spokój, ale słowa, których używała przeciw Grahamowi, były przemyślane i sprecyzowane, jakby to ona sterowała rozmową.

– Pani Hunter.... – zaczął po chwili mężczyzna.

– Słucham – zapewniła go Gillian, dając tym samym do zrozumienia, że nie odpuści i czeka na jego odpowiedź.

Anna wiedziała, że właściciel galerii nie może pozwolić sobie wobec niej na zwykłą odmowę. To nie wchodziło w grę. Musiał wszystko ubrać w jakieś zręczne słowa.

Gdy przyszła tu po raz pierwszy, była prostą dziewczyną z Polski, która wręcz prosiła się o chwilę uwagi i o łaskawe spojrzenie na jej prace. W międzyczasie stała się jedną z Hunterów, jak twierdziła Gillian, i w tym momencie sprawy wyglądały już zupełnie inaczej. Tym ludziom nie odmawiało się bez powodu.

– Wyjaśniłem już wczoraj Annie – zaczął spokojnie – dlaczego podjąłem taką decyzję. Jeżeli pani chce, to wszystko powtórzę.

– Nie musi pan powtarzać tego, co już wiem – stwierdziła Gillian. – Na szczęście mam znakomity słuch. Poza tym, nie interesują mnie pana decyzje, a raczej motywy, dla których pan je podjął. Chcę znać powód tak pochopnej i dziwnej... zmiany.

Graham zaśmiał się głośno.

– Wybacz pani, ale nie muszę się nikomu tłumaczyć z moich wyborów.

– Nie, nie musi pan tego robić – odparła Gillian. – Proszę po prostu powiedzieć, co panem kierowało i nie traktować tego jak tłumaczenie się. Chcę usłyszeć, co panem kieruje.

– Czy to nie to samo?

Gillian już miała odpowiedzieć, ale powstrzymał ją dźwięk otwieranych drzwi. Do pokoju weszła młoda kobieta, niosąc na pięknej ozdobnej tacy trzy filiżanki kawy, cukier i mleko. Postawiła wszystko przed nimi i wyszła.

Anna w tym czasie trochę ochłonęła. Musiała przyznać, że nie wytrzymałaby tego napięcia i zrobiłaby tu awanturę, podczas gdy jej przyjaciółka nie ustępowała. Okazała się twardym przeciwnikiem.

Nim upłynęła chwila, Gillian znów się odezwała.

– Panie Henry, nie pytam, dlaczego pan to zrobił, aby pana potępić czy się kłócić. Pytam, aby zrozumieć, co się tutaj dzieje, i jakoś temu zaradzić.

– Problem w tym, że nie potrzebuję niczyjej porady – uniósł się Graham.

Czyżby ugodziła go w czuły punkt?

Anna zauważyła nieznaczny uśmieszek na twarzy Gillian.

– Słyszałam z pewnych źródeł – ciągnęła swobodnie, przy okazji strącając ze swej spódnicy niewidoczny pyłek – że był pan zachwycony i cieszył się z otwarcia tej wystawy. Słyszałam nawet, że wiązał pan nadzieje, iż po niej zdobędzie pan nowych klientów. Zamożniejszych klientów, co zdecydowanie przydałoby się pana galerii w tym stanie...

– Chyba nie wie pani, o czym mówi! – wtrącił oburzony.

– Wiem – przerwała mu krótko i zdecydowanie. – Doskonale orientuję się w tym świecie i słucham, o czym się mówi w pewnych kręgach. Ze względu na Annę zwróciłam na te pogłoski szczególną uwagę i je sprawdziłam.

Graham przez dłuższą chwilę milczał i przyglądał się starszej z kobiet.

Anna była tak zszokowana przebiegiem tej dyskusji, że nawet nie zamierzała się odzywać. Gillian posiadała takie

informacje i wypowiadała się w taki sposób, że trudno było z nią dyskutować i zakłócać tok starcia, które prowadziła.

Kobieta głośno odetchnęła, po czym powoli i łagodnie dodała:

- Anna mówiła mi, że poniósł pan już znaczące koszty, przygotowując się do wystawy.

- Zdecydowanie – odparł Graham.

- Czy to zatem prawda, że odwołał pan wernisaż, bo koszty te zostały panu zwrócone?

- Pani Hunter – zastanowił się przez chwilę – nie podobają mi się gra, którą prowadzi pani rodzina. Przyszedłcie do mnie, sprawdzacie, przepytujecie mnie i, jak widzę, każdy z was oczekuje ode mnie czegoś zupełnie innego. Zdecydujcie się, czego tak naprawdę chcecie. Nie zamierzam stać się popychadłem Hunterów, gdy wy prowadzicie między sobą wasze gierki.

- Kto do pana przyszedł przed nami? – zapytała chłodno Gillian.

Mężczyzna przez dłuższą chwilę patrzył na nią, jakby kalkulował, czy opłaca mu się ta rozmowa.

- Dlaczego pani zakłada, że ktoś tu był?

- Wnioskuje z pana wypowiedzi.

Graham uśmiechnął się pod nosem i bąknął tylko:

- Racja.

Obie doskonale wiedziały, że dostał pieniądze za odwołanie wystawy, bo sam się do tego przyznał w tej pierwszej, feralnej rozmowie, gdy Anna była wczoraj na lotnisku. Potem Gillian obdzwoniła swoje przyjaciółki i dowiedziała się, od kogo Henry otrzymał czek. Wiadomość, że wszystkiemu winny jest James, była dla Anny jak grom z jasnego nieba. Do teraz czuła się nieprzytomna i nie umiała uwierzyć w to, że spotkało ją coś takiego.

Przyszły tutaj, aby potwierdzić, kto stoi za próbą anulowania tego wydarzenia i przekonać Grahama, aby niczego nie odwoływał i otworzył w sobotę jej wernisaż.

– Panie Henry – kontynuowała po chwili Gillian, sięgając zgrabnie po filiżankę z kawą – moja rodzina, a co za tym idzie również pan John Hunter, byłaby panu wdzięczna, gdyby wystawa jednak się odbyła. – Uderzyła w zupełnie inny ton, proszący, po czym napiła się kawy.

Graham patrzył na nią, odchrząknął i zdecydowanie spokojniejszym głosem powiedział:

– Musi pani zrozumieć, pani Hunter, że zawarłem już umowę i wziąłem rekompensatę za odwołanie wystawy. Nie mam zamiaru zwracać temu człowiekowi pieniędzy – przyznał zdecydowanie.

– Zawarłeś również umowę ze mną – odezwała się zniecierpliwiona Anna – a mimo to ją zerwałeś. Dlaczego umowa z takim człowiekiem miałaby być ważniejsza od tej ze mną? – oburzyła się.

– Bo stoją za nią znacznie większe i pewniejsze pieniądze, Anno – wyjaśnił prosto Graham.

– Czyli nie liczy się sztuka, tylko kasa? – stwierdziła.

– Zdecydowanie, pieniądź jest wykładnikiem wszyściego – zgodził się z nią.

Anna z niedowierzaniem pokręciła głową. Jak zwykle sztuka przegrała z mamoną.

– Przejrzałam kontrakt Anny – wtrąciła się po chwili ciszy Gillian – i muszę przyznać, że miałybyśmy podstawy do wejścia z panem na drogę sądową.

Wzięła kolejny łyk kawy, po czym odstawiła filiżankę na stolik.

Anna zerknęła na Grahama, chcąc poznać jego reakcję. Faktycznie przeglądały wczoraj jej kontrakt. Róża miała

wszystko u siebie i dokładnie omawiały to w trójkę. Był tam jeden punkt, który na siłę dodała Róża i zabroniła Annie podpisywać cokolwiek bez tego. Chyba uratowała jej wtedy tyłek.

– Mam jednak nadzieję – kontynuowała Gillian – że nie będzie to konieczne, bo osiągniemy porozumienie tu i teraz, a nie przed sądem.

Graham wpatrywał się w nią przymrużonymi oczami. Trudno było odgadnąć, o czym w tej chwili myślał.

– Skoro powołuje się pan na kogoś z mojej rodziny – ciągnęła ze swobodą Gillian, czując, że ma jego przyzwolenie i że go zainteresowała – dobrze byłoby ustalić, kim jest ten człowiek.

– Przykro mi, nie zostawił wizytówki.

– Tylko co...

– Powiedziałeś mi – wtrąciła się Anna – że dostałeś od niego czek.

– Czy to prawda? – zapytała z zainteresowaniem Gillian.

– Oczywiście, przecież nie zaprzeczam.

– Chciałabym go zobaczyć – oświadczyła.

– Nie mam go przy sobie i nie rozumiem, po co to pani.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Powiedział pan, że nie ma wizytówki osoby, która przyszła tutaj i zażądała, aby odwołał pan wystawę Anny. Myślę, że na czeku będzie podpis, a ja dokładnie znam podpisy członków mojej rodziny. Jeżeli to ktoś z nich, od razu to rozpoznam.

– Tak, pokażę pani czek, a pani go zniszczy. Nie zamierzam pozbywać się tych pieniędzy.

– Skoro o pieniądze chodzi... – powiedziała Gillian i sięgnęła po swoją czerwoną torebkę od Armaniego. Wy-

ciągnęła z niej zaproszenie na sobotnią wystawę Anny, katalog jej prac i swoją książeczkę czekową. Otworzyła wszystko na interesujących ją stronach i sięgnęła po długopis. – Panie Henry, skoro nie odwołał pan oficjalnie wystawy, wypisuję panu czek. To za obraz Anny May *Orientalny kwiat*. – Wpisała kwotę, podpisała się i podała świstek Grahamowi.

– Ależ Gillian! – zreflektowała się Anna. – Przecież nie musisz kupować mojego obrazu. Chętnie bym ci go poda-
rowała. Proszę, nie rób tego. – Wstała, aby ją zatrzymać.

Graham jednak szybko i sprytnie przechwycił czek.

– Sprzedany! – zakrzyknął, jakby był na aukcji.

– Od dawna miałam na niego ochotę – odparła z nie-
bywałą satysfakcją Gillian i czule spojrzała na Annę. Na-
stępnie wstała, uśmiechając się zadowolona. – Możemy
wracać, Anno.

Ta ruszyła za nią, chociaż zupełnie nie wiedziała, w co
gra Gillian, opuszczając gabinet Grahama w takiej chwili.

– Dobrze, pani Hunter! – zawołał za nią. – Pokażę pani
czek, ale pod warunkiem, że nie będzie pani usiłowała go
zniszczyć.

– Nie zniszczę go, panie Henry – powiedziała powoli
i zrobiła mały krok w jego stronę. – Może pan zatrzymać
te środki. Interesuje mnie tylko kto i z jakiego konta za-
dysponował te pieniądze. W zamian nie odwoła pan wy-
stawy Anny, a ja nikomu nie zdradzę, że z panem rozma-
wiałam.

– A jeżeli ten człowiek tu przyjdzie?

– To już pana sprawa, co pan mu powie. Zawsze może
pan powołać się na decyzję Johna Huntera. To najbezpiecz-
niejsza opcja i proszę mi wierzyć, działa na wszystkich. –
Uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Dobrze, proszę usiąść i dać mi chwilę. Przyniosę czek – powiedział i zaczekał, aż kobiety na powrót zajmą swoje miejsca, po czym wyszedł.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Anna od razu zwróciła się do Gillian.

– Po co kupowałaś ten obraz? Wiesz dobrze, że z przyjemnością sprezentowałabym ci każdy, który tylko byś chciała.

Gillian roześmiała się i nachyliwszy się w stronę Anny, powiedziała szeptem:

– Podoba mi się obraz, który John dostał na urodziny, ale skoro wisi w rezydencji, to mogę codziennie patrzeć na niego do woli. *Orientalny kwiat* był pierwszy na mojej liście, bo doskonale pasuje do mojego gabinetu. Kupiłam go, bo się bałam, że ktoś mi go sprządnie sprzed nosa...

– Gillian, mogłam go wycofać. – Anna chciała ją znowu zbesztać, ale ta uspokoiła ją gestem.

– Poza tym Graham wiedział, że jeśli go kupię, to opowiem o nim znajomym, a jeżeli mi odmówi, to też o wszystkim rozpowiem, a on będzie skończony w tej branży.

Teraz to Anna się uśmiechnęła.

– Przebiegła szantażystka z ciebie – pochwaliła ją.

– Czasami coś mi się udaje.

– Jeszcze się nie udało.

– Wierz mi, już jesteśmy w domu.

Po jakimś czasie Graham wszedł do biura i usiadł za biurkiem.

– Proszę, pani Hunter – powiedział, kładąc czek i zapraszając Gillian, aby zerknęła. – Proszę tylko pamiętać, co pani obiecała.

– Pamiętam, bez obaw – odparła i pochyliła się, aby zerknąć na czek. – Hm... – westchnęła tylko niezadowolono-

na, gdy jej wzrok spoczął na dokumencie, i podała kartkę Annie, aby i ona zobaczyła, co jest grane.

Anna drżącą dłonią wzięła świstek i w pierwszej chwili wstrzymała oddech, zauważając kwotę, na jaką był wystawiony. Więc aż tyle poświęcił ten ktoś, aby utrudnić jej życie? Błądziła wzrokiem po literach i w końcu odnalazła podpis wystawcy. Patrzyła i patrzyła i mimo że nie znała charakteru pisma Jamesa, była pewna, że to on. Chciała zniszczyć ten czek, pognieść go w przypiływie rozczarowania i gniewu, wręcz potargać na strzępy. To nie ona obiecała cokolwiek Grahamowi. Jednak chwila wahania uzmysłowiła jej, że pewnie wtedy wystawa zostałaaby odwołana.

Położyła czek na biurku i wykorzystała chwilę, gdy Graham i Gillian byli zajęci rozmową. Zrobiła szybko zdjęcie telefonem, aby pamiętać o tym, co ją spotkało.

– Anno! – zwróciła jej uwagę przyjaciółka. – Ustaliłam z panem Henrym, że wystawa odbędzie się zgodnie z umową, którą zawarł z tobą, i zgodnie z pozostałymi warunkami. Sobotni termin się nie zmienia, prawda? – zwróciła się do Grahama, oczekując, że potwierdzi jej słowa.

– Dokładnie tak – powiedział, wpatrując się w Annę.

– Czyli wszystko ustalone? – zapytała Gillian.

– Zdecydowanie – zapewnił, nadal nie spuszczać wzroku z Anny. – Możesz przyjść jutro? Ustalimy parę rzeczy i sprawdzimy rozmieszczenie obrazów na ścianach.

– Oczywiście, że przyjdę – zgodziła się, wprost nie dowierzając w to, co słyszy.

– W takim razie muszę stwierdzić, że miło robi się z paniami interesy.

Gillian i Anna pożegnały się z nim i wyszły z galerii.

Anna wsiadła do samochodu i otępiałym wzrokiem gapiała się przez boczną szybę na ulicę. Tak bardzo chciała wyjaśnić tę sytuację, że wprost biegła do biura Grahama. Teraz, gdy wszystko już wiedziała, marzyła, aby to się nie zdarzyło. Chyba wolała swoją niewiedzę i domniemania niż tę przygnębiającą pewność, że James ją wykorzystał i próbował zniszczyć.

Nawet nie zauważyła, kiedy podjechały przed jakiś budynek i Gillian zaparkowała samochód.

– Wysiadka! – zakomunikowała raźnie i już się zbierała.

Anna nie miała wyjścia i za nią podążyła. Rozejrzała się. Z boku, na ścianie przy głównym wejściu wisała piękna złota tabliczka z napisem: *White Leather Manufacture*.

Anna z niepokojem spojrzała na Gillian.

– A jeżeli James dowie się, że tu byłam?

– Kto niby miałby mu donieść?

– Peter „Pink” Pattel? – wymieniła szybko nazwisko głównego projektanta WLM.

– Peter to mój człowiek. – Gillian machnęła ręką. – Owszem, donosi, ale mnie. Zresztą, w poniedziałek przed południem jeszcze nikt go tutaj nie widział.

Weszły do środka i zaszyły się od razu w gabinecie Gillian. Jak się okazało, tu znajdował się jej bezpieczny azyl, gdy potrzebowała spokoju, a w budynku rodzinnej firmy jej gabinet istniał jedynie po to, aby mogła rządzić wszystkim innym.

Anna spojrzała na kobietę, która położyła torebkę na biurku i uruchomiła komputer.

– W chwili, gdy runęły marzenia o wystawie – odezwała się cicho Anna – wiedziałam, że zrobię wszystko, aby ją ratować. Dziękuję, że byłaś tam ze mną – powiedziała. – Sama pewnie żebrałabym o uwagę Grahama, a ty rozegra-

łaś to po mistrzowsku. Praktycznie to on prosił, aby wydalenie się odbyło – stwierdziła i uśmiechnęła się smutno.

– Cieszę się, że się udało – powiedziała zadowolona Gillian i oparła się o swoje biurko.

– To będzie bardzo pracowity tydzień – stwierdziła Anna. – Do soboty zostało niewiele czasu.

– To dobrze, ciesz się.

Czy rzeczywiście powinna się cieszyć? Miała wymarzoną wystawę, a straciła wszystko inne. Inauguracja jej wernisazu nadejdzie, przeminie, a ona zostanie z mnóstwem pytań i spraw do rozwiązania.

Nagle w jej torebce rozdzwonił się telefon. Sięgnęła po niego, a gdy zobaczyła, kto dzwoni, przewróciła oczami. Tylko tego brakowało.

– To moja mama – poinformowała. – Ona jeszcze nic nie wie – wtrąciła i odebrała, automatycznie przechodząc na polski. – Cześć, mamuś! – powiedziała. Rodzice pewnie myśleli, że jest już w Polsce, w pracy, ale skoro nie zameldowała się tak jak każdego poranka, postanowili zadzwonić.

– Cześć, córciu! – ucieszyła się jej matka. – Wróciłaś? Jesteś w pracy?

– Nie, mamó – wtrąciła szybko Anna. – Musiałam zostać w Londynie.

– A praca?! – W jej głosie słychać było nie tylko zdziwienie, lecz także oburzenie.

– Wzięłam bezpłatny urlop – skłamała. – Jestem zajęta. Zadzwonię wieczorem, zgoda?

– Zgoda, tylko uważaj na siebie.

– Dobrze mamó. Pa – pożegnała się i szybko rozłączyła.

Odetchnęła i spojrzała na Gillian, a potem bezsilnie klapnęła tyłkiem na żółtą kanapę. Telefon i torebkę rzuciła obok na siedzisko.

– Pierwszy raz słyszałam, jak mówisz w innym języku – skomentowała Gillian i zapytała: – Czego chciała twoja mama?

– Martwi się, że nie jestem w pracy, tylko w Londynie.
– Co jej odpowiedziałas?
– Że wzięłam urlop bezpłatny.
– A tak naprawdę co z twoją pracą?
– Mój szef powiedział, że jeśli nie będzie mnie dzisiaj, to mam nie wracać w ogóle. Pewnie mnie zwolnił.

– W takim razie możesz tu zostać. Nigdzie ci się nie spieszy – stwierdziła Gillian.

– Tak, problem tylko w tym, że... mam wystawę, straciłam pracę i okłamuję matkę, że dostałam urlop. Niedługo zostanę bez środków do życia, a potem za te moje kłamstwa szczenę w piekle. Już teraz boli mnie brzuch na samą myśl, ile będą mieli do powiedzenia moi rodzice, gdy przyjadą za parę dni na mój wernisaż. Dobrze, że przynajmniej u Róży mogę się zatrzymać za darmo.

– Masz jakieś oszczędności?
– Niewielkie. Spłacam dwa kredyty – odparła i spojrzała na swój telefon leżący obok na kanapie. Wibrował intensywnie, ale ona się skrzywiła i zignorowała połączenie.

– Kto dzwonił? Może powinnaś odebrać? – zaproponowała Gillian, wiedząc, że jej bliscy martwią się o nią i pewnie dlatego próbują się skontaktować. Ona też by się martwiła o swoje dzieci.

– To James – wyjaśniła niechętnie Anna.
– James? – zdziwiła się Gillian. – Czego może chcieć?
– Pewnie się niepokoi, czy dotarłam do domu. On tak zawsze.

Gillian zastanowiła się przez chwilę, a potem powoli powiedziała:

– Nie możesz go ignorować, bo zorientuje się, że coś jest nie tak. Musisz wysłać mu wiadomość, że dotarłaś do domu. On nie odpuści, znam go.

Anna skinęła głową. Gillian miała rację.

– Słyszałam, że robiłaś dla niego jakiś projekt? – zagadnęła. – Liczę, że zapłacił ci za niego i że cię nie wykorzystał.

– Ma zapłacić w tym tygodniu – odparła Anna i pomyślała, że pewnie nie zobaczy tych pieniędzy, które teraz uratowałyby ją na bardzo długo. Zdawała sobie sprawę, że James wykorzystał ją, i to nie tylko do tego projektu.

– Cholera – zakłęła Gillian. – Jeśli się zorientuje, co zrobiłyśmy, nie zobaczysz nawet złamanego pensa. Musi zapłacić ci dzisiaj.

– Dzisiaj? – Anna się przestraszyła, słysząc tak zdecydowaną sugestię w głosie kobiety.

– Zadzwoń do niego, powiedz, że doleciałaś i wymyśl coś strasznego, żeby wysłał ci pieniądze.

Od razu zrobiło się jej nie dobrze. Jak powinna z nim rozmawiać po tym wszystkim, co się stało?

– Ale co mam mu powiedzieć?

– Nie wiem... trzęsienie ziemi, popsuty samochód, atak mrówek, cokolwiek. Bierz telefon i dzwoń! Nie czekaj! – pogoniła ją Gillian. – Idź na żywioł i udawaj zachwyconą albo nie... zdruzgotaną!

Anna ujęła telefon drżącymi dłońmi i wybrała numer Jamesa. Położyła aparat na kolanach i włączyła głośnik, aby Gillian wszystko słyszała i w odpowiednim momencie jej pomogła. Oddychała ciężko i czuła pustkę w głowie. Nie miała pojęcia, co mu powie.

Odebrał już po pierwszym sygnale.

– Anno, do cholery! Dostanę przez ciebie zawału, jeśli nie będziesz odbierała moich telefonów – powiedział jednym tchem.

Gdy usłyszała jego głos... rozkleiła się. Skuliła się i zakryła oczy dłonią. Jej świat rozpadał się, a serce pękało z żalu nad tym, co straciła.

– James... – wyszeptała udręczonym, płaczącym tonem.

– Tak, kociaku? – zapytał tak czule, że wprost roztopił jej serce tymi słowami. Nie pamiętała, aby kiedyś, wcześniej, było w nim tyle czułości.

– Coś się stało... – zaczęła z trudem.

– Cholera, wiedziałem, że te huraganowe wiatry nad Polską to nic dobrego – wtrącił, wchodząc jej w słowo.

Annę i Gillian aż się wyprostowały. Jakie huraganowe wiatry? „To nie ta strefa klimatyczna!” – zdziwiła się w duchu Anna, patrząc na Gillian, i nagle ją oświeciło.

– Tak, wiatr zerwał część dachu z domu babci Wiktorii. Dzwonię, aby zapytać, czy możesz wysłać mi pieniądze za projekt parę dni wcześniej. Chcę jej pomóc, aby deszcz nie zalał wnętrza – kłamała jak z nut.

– Oczywiście, Anno – zapewnił gorliwie James. – Zaraz zrobię przelew. A jak ty się czujesz?

– Jestem zmęczona i nie wiem, w co ręce włożyć. Proszę, nie martw się, gdybym nie odbierała.

– Porozmawiamy wieczorem.

– Nie, nie wiem, kiedy wrócę od babci, a jutro muszę znów jechać do pracy.

– Przylecisz w czwartek? Odbiorę cię z lotniska – proponował.

– W tej sytuacji nie wiem, kiedy przylecę. Dam ci znać. Pewnie utonę w pracy w galerii. Dasz sobie radę beze mnie.

– Chcesz, abym czekał do soboty?

Doskonale słyszała zdziwienie w jego głosie.

– Tak byłoby najlepiej. Muszę kończyć. Szef mnie wzywa.

Rozłączyła się szybko i przez moment siedziała ze spuszczoną głową i zaciśniętymi powiekami. Nie potrafiła zrozumieć, jak ten piękny sen mógł się skończyć taką katastrofą. Była głupia. Oddała mu swoje serce, a on ją tak zniszczył... Tylko dlaczego nadal brnął w tę farsę i tak się o nią troszczył? Po co, do cholery, mówił do niej tak czule? Aby zamydlić jej oczy?

– Anno... – szepnęła spokojnie Gillian.

Z trudem podniosła głowę i na nią spojrzała. W oczach zakręciły jej się łzy. Wiedziała, że za chwilę wyleją się strumieniem na jej policzki.

– Anno – powtórzyła łagodnie Gillian – co jest między wami?

– Raczej co było – sprostowała i pomyślała o wszystkim, czego już między nimi nie będzie. Czuła, jak jej gardło się zaciska. Nie wytrzymała i łzy potoczyły się po jej twarzy.

Gillian podeszła do niej, usiadła obok i przytuliła do siebie.

– Więc... co to było? – zapytała delikatnie.

– Nie wiem... Sama już nie wiem... – łkała Anna. – Spotykaliśmy się raptem w te dwa ostatnie weekendy, a teraz w sobotę zabrał mnie do swoich rodziców, do tego ich pałacu.

– Zabrał cię? – zdziwiła się Gillian. – I co na to Emilie?

– Obie byłyśmy w szoku.

– Jak to w szoku?

– Bo James... – urwała i bardzo się zawstydziła. – James powiedział rodzicom, że jesteśmy razem.

– On im tak powiedział czy oni wysnuli takie wnioski?

– On... – przyznała zdecydowanie.

– A ta jego Gabi?

– Zerwał z nią jakiś czas temu, a że nie chciała się od-czepić, zrobił jej awanturę w swoje urodziny. – Anna spu-ściła głowę. – Nie chciałam zadawać się Jamesem, aby za chwilę nie być taką drugą Gabi. To wszystko okazało się jednak silniejsze... i widzisz, co się teraz stało – dokończy-ła, z trudem wypowiadając poszczególne słowa.

– Widzę... – szepnęła Gillian, pamiętając, jak wbrew zdrowemu rozsądkowi umówiła się pierwszy raz na rand-kę z Hugh, swoim obecnym mężem. Jej się udało. Z Anną było inaczej. – Wyobrażasz sobie rozczarowanie Johna, gdyby dowiedział się o Jamesie? – dodała, rozmyślając nad sytuacją, której będzie musiała sprostać.

Anna z przerażeniem spojrzała na kobietę.

– Nie chciałabym przysparzać mu więcej zmartwień – stwierdziła. – Proszę, nie mów mu o tym, co było między mną a Jamesem. Nie mów nikomu, bo to fatalnie wpłynie na atmosferę w rodzinie – błagała, chwytając Gillian za rękę. Właśnie uświadomiła sobie, jakie będą skutki tego całego zamieszania.

Gillian westchnęła.

– Rozmawiałam już rano z Johnem o twojej sytuacji – poinformowała ją. – Powiedziałam mu o wszystkim, co wydarzyło się wczoraj wieczorem. John był bardzo poirytowany i osobiście chciał dzwonić do Grahama, ale obieca-łam mu, że wszystko załatwię. Nie wspominałam o udziale Jamesa, bo potrzebowałam dowodów. John uwielbia się wtrącać i wiedzieć o wszystkim, więc jeżeli już, to powiem mu tylko o czeku. O reszcie nikt się ode mnie nie dowie – obiecała.

– Dziękuję – szepnęła Anna.

– Najważniejsze, abyśmy teraz opracowały plan na te parę dni. James nie powinien się dowiedzieć, że wszystko odkręciłyśmy.

– Nie powinien wiedzieć, że w ogóle tutaj jestem – podkreśliła.

Tak, zdecydowanie musiały utrzymać te wszystkie okoliczności w tajemnicy. John pewnie by nie darował Jamesowi tego wybryku i przypłaciłby to zdrowiem. Obie tego nie chciały. Sambor też by się wściekł i cała jako taka współpraca między ich rodzinami zawisłaby na włosku. Wszystko przez to, że nie potrafiła się opanować i poszła z Jamesem do łóżka. Tak bardzo tego chciała, ale dopiero teraz widziała, że to była najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiła.

Nie była Julią, swoją siostrą, która w takich okolicznościach nie wytrzymała i straciła zdrowie i życie. Wiedziała, że się nie załamie, chociaż jej serce będzie jeszcze długo krwawić. Przecież kiedyś każda rana przestaje się jątrzyć, a potem się zablizni. Pytanie tylko... kiedy?

3. James

James nie był głupi. Czuł, że coś się stało, ale nie wiedział co. Nie rozumiał tego przeczucia, które kazało mu wierzyć, że coś wisi w powietrzu. Kiedy odprowadzał Annę na lotnisko, wydawało mu się, że dziewczyna należy do niego. Na tamtą chwilę zrobił wszystko, aby została w Londynie, i chciał, ba, marzył o tym, aby się na to zdecydowała. Miał świadomość, że nie stanie się to dziś czy jutro, chociaż najbardziej w świecie pragnął, aby Anna nie wsiadała do tego samolotu, aby wybrała jego. Może okazywał się przez to samolubny, ale wiedział, że to dla nich najlepsze rozwiązanie. On miałby Annę, a ona stworzyłaby tu sobie świat, w którym mogłaby się realizować. Przecież właśnie o tym marzyła.

Nie powiedział jej tylko o jednej rzeczy i teraz, gdy milczała, zastanawiał się, czy dobrze zrobił. Może powinien jej wszystko wyznać?

Dni, które spędził z Anną, były niezwykle. Takie... naturalne i zwyczajne, a jednocześnie wyjątkowe i niespotykane. Podobało mu się takie życie z nią u boku. Wspólne noce i jeszcze atrakcyjniejsze poranki. Jej bliskość, spojrzenia i dotyk. Wszystko to powodowało, że odkrywał świat i jego przyjemności na nowo. Jakby do tej pory pewne rzeczy pozostawały ukryte, a on je nagle odnalazł. Niczego więcej nie potrzebował.

Za każdym razem, gdy wracała do Polski, myślał o niej i martwił się w zasadzie o różne drobiazgi: czy wsiadła do

samolotu, jak doleciała, czy złapała taksówkę na lotnisku i czy dotarła już do swojego domu. Myślał o tym, czy była zmęczona i jak przespała noc, bo wiedział, że miała w poniedziałek iść do pracy. Chciał chociaż usłyszeć jej głos, ciche zapewnienie, że u niej wszystko jest w porządku. Martwił się o nią cały czas. Dlatego gdy rano włączył telewizor i podczas porannego treningu dowiedział się o tych silnych wiatrach przechodzących przez Polskę, drżał z niepokoju i niczego nie pragnął bardziej, niż usłyszeć jej głos i się dowiedzieć, że bezpiecznie dotarła do domu. Jednak Anna to Anna i z odbieraniem telefonów bywało u niej różnie.

Od rana chodził przez to podenerwowany. Burczał coś do ludzi i stał się drażliwy. Po tym, czego doświadczył z Anną, nic nie mogło mu jej zastąpić. Na dodatek zupełnie się nie wyspał! Przez te parę dni tak bardzo przyzwyczaił się do jej obecności, że w nocy łóżko wydało mu się zbyt duże i puste, a dłonie szukały jej co jakiś czas. Pościel pachniała jego kobietą, a on wtulał nos w jej poduszkę i zasypiał. Na chwilę. Budził się i znów o niej myślał.

Radził sobie z tym, że Anna jest w swoim kraju, ale ciężko było mu zrozumieć, dlaczego, do cholery, nie może odebrać jego telefonu ani po prostu oddzwonić, powiedzieć, co się dzieje. Zwykle: „Jestem w domu, James” zupełnie by mu wystarczyło. Dlaczego nie mogła zrobić chociaż tyle po tym, co razem przeżyli? Siedział więc rozżłoszczony i zmartwiony w swoim biurze i zupełnie nie potrafił skupić się na pracy.

Nagle go olśniło. Poszedł do Sambora. Przecież to jej kuzyn; mógł go zapytać, czy ma jakieś wieści od Anny. Kiedy jednak zobaczył jego podbite w zewnętrznym kącie oko, zrezygnował, bo już mieli jedną trudną rozmowę na temat Anny. Uzgodnili, że zostawi ją w spokoju i nie bę-